TYGODNIK LWOWSKI

Przedpłata w miejscu i dla abonentów „Dziennika Lwow."		Dla prenumerujących z osobną przesyłką pocztową	
rocznie	6 złr. — ct.	rocznie	7 złr. — ct.
półrocznie	3 „ — „	półrocznie	3 „ 50 „
ćwierćrocznie	1 „ 50 „	ćwierćrocznie	1 „ 80 „
Zeszyt miesięczny	— „ 60 „	W w. ks. Poznańskiem ćwierćrocz.	1 tal. 15 sgr.
Pojedynczy numer	— „ 20 „	We Francji ćwierćrocznie	6 franków.

Nr. 8.

1. Grudnia 1867.



Zamek Cluny i muzeum starożytności.

Paryż, tak szybko się przeobrażający, że w krótce ani jednego może domu ze starego nie pozostanie miasta, umie jednak starannie przechowywać pamiątki, najodleglejszych sięgające wieków.

Nie tylko muzea, które przechowują starożytności niemal całego świata, ale zwaliska najwspanialszego niegdyś zamku Cluny — przechowane zostały w całej swej oryginalności, wśród tego nowożytnego Babilonu. — Idąc bulwarem Śgo Michała, postrzegać się daje obszerny park, otoczony kratą, po za którą widać rozliczne pomniki kamienne, wykopaliska z przedchrystusowych czasów, w systematycznym nieporządku poustawiane, tworząc niejako muzeum pod gołem niebem, między któremi sterczą zwaliska.

Budynek ten na pozór w gruzy się walący, jest to zamek Cluny, który w swych murach starannie pielęgnowanych, przechowuje najciekawsze zabytki starożytnicze, interesujące każdego przechodnia.

Cesarz rzymski Konstanty Chlorus, który między 292 a 306 rokiem przebywał w Galli, jest wedle podań historyków, założycielem tego zamku. Rzymianie stawiając wspaniałe budynki na swe pomieszkania przeznaczone, nie zapominali o wygodnych i wytwornych łazienkach, które też w tym zamku po dziś dzień są widzialne. — Na zwaliskach tego rzymskiego zamku, zbudował opat Benedyktynów w początkach XVI. stulecia mały zamek, najpiękniejszy pomnik architektoniczny w epoce przejścia ze stylu gotyckiego w tak zwany *renaissance*. Rewolucja francuzka własność tę mnichów zamieniła na własność narodową, z której z czasem powstało muzeum narodowe. — Zabytki starożytności przechowane w tem muzeum, są nader liczne, jest ich około 30.000 sztuk. Przeszedłszy sale zamkowe, na górze i na dole, wchodzi się do parku i zstępuje do sklepionych, jakoby pod ziemią gmachów, które były przeznaczone na łazienki, nader wytworne, stanowiące jedyną jeszcze oznakę bytności Rzymian w Paryżu.

Zwiedzanie tego budynku, zarówno jak wszystkich gabinetów i muzeów w Paryżu, jest bezpłatne.

J. I. Kraszewski.

II.

Od r. 1852 zaczął w zaborze moskiewskim powiewać jakiś wiatr przyjaźniejszy dla polszczyzny. Nietylko, że pofolgowała cenzura, że dozwalano rozwinąć się lepiej dziennikarstwu, ale nawet dzieła, dawniej zakazane pozwolono przedrukowywać w Petersburgu. Wyklęte przez cenzurę moskiewską imiona Libelta, Trentowskiego pojawiły się w katalogach nakładów petersburgskich, Mickiewicza, Pan Tadeusz, nawet W. Pola: Pieśń o ziemi i inne, dla których zdawały się być raz na zawsze zamknięte policyjne szranki, jakiemi Moskwa otoczyła ziemię polską, mogły wolno krążyć w zaborze moskiewskim, wprawdzie w skróconym cokolwiek przez cenzurę kroju, ale dla umysłów spragnionych tego zakazanego owocu było już to wielką zdobyczą.

Zwolnienie to więzów cenzury następowało stopniowo i nie od razu przyniosły lata 1852 i następne Polakom pod moskiewskim rządem wszystkie te owoce zmiany w polityce moskiewskiej. Zmiana taka nie była niczem niezwyczajnem, powtarzała się ona kilkakrotnie w różnym kształcie od czasu podziału. Moskiewska polityka obraca się zawsze w jednem kole, którego dwoma biegunami są: kwestja polska i kwestja wschodnia. Kiedy się Moskwa zbliża do jednego bieguna, aby tam się postawić na swoich „kolosalnych glinianych nogach,“ wtedy przymila się drugiemu swoją fizjognomją, której człowieczeństwo podane jest w wątpliwość przez znane w całej Europie zdanie osoby tak wielkiej powagi, jak pani Staël. Pani Staël mówiła wprawdzie tylko o skórze moskiewskiej, ale ze skórą musi i fizjonomja licować. Takim to niedźwiedzim uśmiechem przymilała się Moskwa Polakom w przededniu „rozwiązania kwestji wschodniej.“ Rozwiązanie to skończyło się porażką i śmiercią najdumniejszego gnębiciela Polski, więc przyjaźniejsze dla Polszczyzny usposobienie przewlekło się i po za rok 1855 aż do 1862.

Ten tedy okres obejmujący znowu lat 11, był w czynności Kraszewskiego najbardziej znaczącym i dla niego samego i dla kraju.

Już w r. 1852 powołał nowo utworzony „Dziennik Warszawski“ w swoje szeregi zastęp pisarzy odznaczonych wielką zdolnością, ale niestety oraz i małością charakteru. Przewodził tu Henryk Rzewuski, popierał pismo Michał Grabowski, wprowadzono na arenę uzdolnionego a wtedy jeszcze młodego Zygmunta Kaczkowskiego. „Dziennik Warszawski“ wywołał współzawodnictwo „Gazety Warszawskiej,“ która starała się pozyskać podobnież najcelniejszych pisarzy, między temi widzimy Kraszewskiego. Współzawodnictwo literackie, bardzo pożyteczne dla wzrostu piśmiennictwa, przybrało wkrótce postać walki stronnictw politycznej, o ile takowa pod policją moskiewską objawiać się mogła. Nietrudno pojąć, że opinja narodu musiała tę walkę rozstrzygnąć na niekorzyść tej strony, po której stał Henryk Rzewuski. „Dziennik Warszawski“ musiał zwinąć swój sztandar i przedzierzgnął się w „Kronikę.“ Pismo to aczkolwiek starano się je utrzymać w dążnościach wstecznych, nie mogło pozostać długo na tych torach. Szukając bowiem zdolnych piór do współpracownictwa, musiało mimowoli czynić ustępstwa wolnomyślnym zapatrywaniom się, gdyż inaczej szereg współpracowników byłby się musiał ograniczać na małe nader kółko piszących. Ztąd poszło, że i do Kraszewskiego udała się „Kronika,“ gdzie on drukował Choroby wieku. Zarzucano Kraszewskiemu z tego powodu przeciwpostępowość i zmianę zdania. Ileśmy jednak zrozumieli Kraszewskiego, to niewalczył on tu przeciwko postępowi, ale raczej przeciwko słabościom i śmiesznościom ukrywającym się pod płaszczykiem postępu. Miłości ludu, tej właściwej cechy postępu, nie zaparł się nigdy Kraszewski. Zresztą „Kronika“ przestała już być osobnym obozem i Kraszewski, podobnie jak każdy inny pisarz, mógł bez narażenia swego stanowiska tak w „Kronice“ jak w „Gazecie Warszawskiej“ pisywać. Pozostał on zawsze po stronie postępowej i był nawet pod względem barwy społecznej poniekąd węgłem szkoły przeciwnej szkole Rzewuskiego.

Okres ten swobodniejszego ruchu literackiego doprowadził i Kraszewskiego do kulminacji w powieścio-pisarstwie. Powstały wtedy Chata za wsią, Dwa światy, Powieść bez tytułu, z których każde jest w swoim rodzaju arcydziełem.

Jeżeli już ten udział pośredni w ruchu dziennikarskim nacechował publiczne stanowisko Kraszewskiego, to jeszcze wybitniej objawiło się takowe gdy Kraszewski objął sam kierunek „Gazety Codziennej.“ Doznał on w tym nowym stosunku wiele przykrości. Walka zarobkowa dwóch dzienników umiała wplątać w swoje zapasy wszelkie żywioły życia publicznego i wyzyskiwała rozlicznemi sposobami opinję publiczną. Ta sama „Gazeta Warszawska,“ która walczyła z „Dziennikiem Warszawskim“ jako pismem wstecznem, stanęła w kwestji żydowskiej na wstecznem stanowisku. Kraszewski objąwszy za umową z Kronenbergiem kierunek „Gazety Codziennej“ bronił sprawy równouprawnienia żydów. Potęga pieniężna Kronenberga połączona z umysłową potęgą Kraszewskiego, udaremniła zabiegi przeciwników wymierzone na obalenie „Gazety Codziennej.“ Stanęła ona niedługo wskutek starań i niezmordowanej pracy Kraszewskiego, tak pod względem wartości swej literackiej i dziennikarskiej, jakoteż i pod względem ilości abonentów silniej niż którykolwiek z dzienników polskich.

Wobec tej olbrzymiej czynności Kraszewskiego jako kierownika pisma, zdawałoby się, że ustąpiła w głąb czynność powieścio-pisarska. Tymczasem rzecz się miała przeciwnie, bo nie brakuje z tego czasu ani obszernych powieści, ani mnóstwa drobnych beletrystycznych prac Kraszewskiego. Boża Czeladka, Starościna Bełzka, Pamiętniki Ochockiego, Caprea i Roma, Historja kołka w płocie, Resztki życia, są znakomite płody jego artystycznego pióra, którym towarzyszy jak plejada gwiazd około kilku słońc, mnóstwo mniejszej objętości utworów.

Podczas kierownictwa „Gazety Codziennej“ zaszły go wypadki warszawskie w r. 1862. „Gazecie Codziennej“ nadał on tytuł „Gazety Polskiej.“ W demonstracjach wiekopomnych owej wzniosłej chwili brał Kraszewski udział czynny, jaki mu na stanowisku jego brać przystało. Przypominają sobie zapewne czytelnicy portret jego z owych czasów z naramiennikiem, oznaczającym członka delegacji, która wtedy była prawie władzą narodową. Nie pozwala nam dyskrecja odsłaniać faktów, które do czasu powinny zostać tajemnicą. Dosyć nadmienić, że wypadki ówczesne zniewoliły Kraszewskiego opuścić ojczyznę i niedozwoliły mu dotąd wrócić. Pisywał on z zagranicy jeszcze Listy do „Gazety Polskiej“ i dotąd spotykamy się z jego listami w różnych pismach warszawskich. Inne ziemie polskie pragnęły Kraszewskiemu zastąpić jego macierzystą siedzibę. Gdziekolwiek się pojawił, którąkolwiek z tych krain odwiedził, wszędzie przyjmowano go z czcią i uwielbieniem, jakie się należy człowiekowi, który się przyczynił tak znamienicie do postawienia imienia Polski na szczycie literatur europejskich. Nie udało się wszakże żadnej z krain polskich pozyskać w Kraszewskim stałego mieszkańca, chociaż Lwów i Kraków w zawody ofiarowały mu honorowe obywatelstwo. Pobyt Kraszewskiego we Lwowie został uwieczniony fundacją jego imienia na wydawanie dzieł popularnych dla pracowników rękodzielniczych, myśl, którą Kraszewski jeszcze będąc w Warszawie starał się wprowadzić

w wykonanie, przez wydawanie biblioteczki dla rzemieślników. We Lwowie pochwycili sami mieszczanie rękodzielnicy tę myśl, a Kraszewski nadał jej życie czynnem poparciem. Tak nie przestała miłość ludu cechować obywatelskiej działalności Kraszewskiego.

Kuszono się z wielu stron o to, aby Kraszewskiego pozyskać dla kierownictwa niezależnego dziennika politycznego, jednak on się usuwał od tego w słusznem poczuciu, że publicystyka i dziennikarstwo nie są polem zupełnie właściwem dla jego usposobień pisarskich.

Równocześnie z pobytem Kraszewskiego za granicą, pojawiły się znakomite publikacje Bolesławity. Dzieła te, cechujące talent pierwszorzędny, odbijające wszystkie tętna, jakiemi zawrzało życie narodowe w czasie ostatnich walk, tryskające ogniem najwznioślejszych namiętności, jakiemi Polska zdumiewała świat w tej tragicznej przegrywce swego zmartwychwstania, uderzyły tak silnie w bolejące serce narodu, że opinja publiczna mogła tylko wielkiemu mistrzowi przypisać autorstwo takich dzieł. Dla tego to połączono imie Bolesławity z imieniem Kraszewskiego. Gdyby wolno było te prace pseudonima przypisywać Kraszewskiemu, musielibyśmy podziwiać młodzieńczą żywość wyobrażeń i ciepło kolorytu w pracowniku, który pół wieku strawił w niezmordowanej pracy na polu literatury pięknej, z drugiej strony musielibyśmy się dziwić lekkości, a nawet pobieżności w kreśleniu niektórych rysów i zaniedbaniu stylu. Tłumaczylibyśmy to owem nieprzepartem natchnieniem poety, które nie dozwala czasem autorowi wypracowywać szczegółowo dzieł, poczętych w chwili zapału, aby nie zatrzeć świeżości barw i nieosłabić wrażenia, jakie czynią obrazy wielkich scen, gdy są narysowane kilku silnemi rzutami. Cechuje to w każdym razie i stanowisko narodowe Kraszewskiego i cześć narodu dla jego imienia i niepospolitą wartość prac Bolesławity, że imię to identyfikuje publiczność z imieniem ukochanego w całej Polsce pisarza.

Zawód Kraszewskiego jest tak obfity w płody autorskie, a te prace wyjednały mu takie znaczenie w narodzie, że niniejszy rys jego działalności jest słabym szkicem obrazu tego życia, którego skreśleniem już dziś możnaby dzieło niepospolitej objętości i wartości zapełnić. Żywot Kraszewskiego jest częścią żywota narodowego — a jednak nie jest on jeszcze zamknięty i da Bóg, że długo jeszcze nie będzie zamkniętym. *K. Widman.*

Urywek z czyjegoś pamiętnika

znaleziony przez

T. T. J(eża).

(Ciąg dalszy).

II.

Nie było — jak powiedziałem wyżej — tygodnia, ażebym się nie wymykał do Jarów... w interesie. W końcu interes i wszelki pretekst do dna się wyczerpnął. Począłem więc wymykać się — ot tak sobie — dla spędzenia chwilki czasu, który w domu stał się dla mnie nieznośnym. Jeździłem, nie uważając na porę ani pogodę. Zimno czy ciepło, pogoda czy słota — wszystko to dla mnie było jedno. Nie było złej drogi do mojej niebogi. Z krętemi drogami w lesie poznałem się na wyrywki — mogłem się puścić z zawiązanemi oczami. Poznałem się z całą rodziną państwa Dubynów i spoufaliłem się z nią.

„Zpoufaliłem się?“ — nie jest to wyraz, określający dokładnie stosunek, jaki się zawiązał pomiędzy mną-panem, a tą rodziną, na określenie której innego przymiotnika nie ma, tylko „prostaczą.“ Przedział pomiędzy mną a nią znikł ze szczętem. Moja ogłada i jej prostaczość zlały się w jedną całość w taki mniej więcej sposób, w jaki w naczyniu chemicznem zlewają się różne pierwiastki dla utworzenia nowego ciała. Pierwiastki te można rozłożyć, lecz na to potrzeba obcych kwasów. I naszą całość można było rozerwać i na pierwiastki rozłożyć, lecz nie było kwasów, dla niedopuszczenia których, z mojemi stosunkami w Jarach kryłem się przed matką, która się wprawdzie czegoś domyślała, lecz nie tego, co było w istocie. Matkę moją trwożył ogólny nastrój umysłów, wytwarzający coraz to silniej występującą przeciwko moskiewskiemu panowaniu opozycję, której wyraz ostatni — zbrojny wybuch — nie trudnym był do przewidzenia. Tego się matka moja lękała dla mnie; od tego chciała jedynaka zabezpieczyć; przeciwko temu powstawała i — rozumi się — chybiała celu. Pod względem politycznym, podzielałem jej przekonanie w zupełności. Miałem to przeświadczenie, że Polska sama własnemi siłami nic zrobić nie może, więc niczego tentować nie powinna. Zadowalniało mnie społeczne moje położenie szlachcica i pana. Czułem się i uznawałem na wioskach dziedzicznych monarchą i nie miałem najmniejszej ochoty abdykować, nie mając w perspektywie żadnej kompensaty. Z zupełną czystością sumienia domysły matczyne zbijałem „słowem honoru,“ że się nie mieszam do niczego i z rodziną Dubynów zawierałem swobodnie coraz bliższe a bliższe stosunki, których węzłem była Handzia.

Zpoufaliłem się do tego stopnia, że nie nazywałem jej panną „Anną,“ ale panną „Handzią;“ a kiedy o niej przy niej była mowa, odrzucałem „panna,“ jako rzecz zbyteczną. Była ona dla mnie Handzią — a ta Handzia była mi potrzebną: do szczęścia na ziemi i do zbawienia w przyszłem życiu. Uważałem ją jako moją własność — jako skarb, znaleziony na odpuście, mój... mój... i niczyj, tylko wyłącznie mój...

Ale ten skarb podobnym był do owych, o których mówią kazki naszych nianiek. Był do wzięcia, lecz potrzeba było umieć go zakląć. Do zaklęcia służył znany powszechnie wyraz, którego nie śmiałem wyksztusić. Wiązł mi on w gardle i dławił, ile razy, na grzybach w lesie, lub błądząc bez celu pomiędzy drzewami, lub spoczywając przy źródle albo na uroczysku zwanem „starym dębem,“ znalazłem się sam na sam z moim skarbem.

Pan Dubyna był mi nadzwyczajnie rad; w oczach pani Dubyniny czytałem jakąś smętną życzliwość; młodzi Dubynowie i młode Dubynianki uważały mnie za swego; lecz w oczach Handzi było coś, co mnie w pewnem od niej trzymało oddaleniu. Były one śmiejące się, wesołe, uprzejme, lecz nigdy nie strzelił z nich wyraz, wyrywający wyznanie miłości — ten wyraz, co to ośmiela i otuchy dodaje, a bez którego i najodważniejszy w miłosnych sprawach obejść się nie może. Tego wyrazu nie mogłem się w jej oczach doczytać — przeciwnie: ile razy uprzejmość jej mnie ośmieliła i już otwierałem usta, w celu wymówienia zaklęcia, tyle razy odepchnęła mnie od siebie... jednem spojrzeniem — takiem poważnem, surowem i chłodnem, żem oniemiał. Ogromną spojrzenie jej miało potęgę. A nie było ono nigdy długiem. Jeden moment, krótki jak mgnienie źrenicy: spiorunowała mnie i powracała do zwykłej uprzejmej poufałości. Mówiła o tysiącach różnych rzeczy, prowadząc rozmowę torami, nie mającemi najmniejszej z miłością styczności i umiała jej nadać obrót taki zajmujący, że słuchając jej przypominałem sobie „pieszczotkę“ Mickiewicza, co to, „gdy w wesołej chwili, pocznie szczebiotać i kwilić i gruchać, tak mile grucha, szczebiocze i kwili, że niechcąc słówka żadnego postradać, nie śmiem przerywać, nie śmiem odpowiadać, a tylko chciałbym, słuchać, słuchać, słuchać.“ Jej dźwięk głosu, jej sposób wyrażania się, miały w sobie coś tak uroczego i zachwycającego, że wsłuchiwałem się w nie jak w muzykę. Bo nie treść mnie zachwycała. O czem-że proste, wiejskie, w lesie wychowane dziewcze mówić mogło? Rozpowiadało o swoich braciszkach i siostrzyczkach, o kwiatkach i ptaszkach, niekiedy o domowem gospodarstwie, takiem poziomem i prozaicznem, i kończyła zwykle na głośnym śmiechu, który budząc echa dzwonił po lesie i któremu i ja musiałem wtórować, nie śmiąc obces na jej serce natrzeć. Trzymała więc mnie w oddaleniu, a robiła to tak zręcznie, tak — jeśli wolno się wyrazić — dyplomatycznie, że wyznania miłości odkładałem wciąż do jutra, a jutro znów do następnego jutra, i tak bez końca. A powaga jej była tak wielką, że nie śmiałem użyć gwałtu i, pomijając wyznanie, powiedzieć wręcz panu Dubynie:

— Daj mi twoją córkę, chcę się z nią ożenić...

Nie śmiałem mu tak powiedzieć, pomimo, że sam nieraz zachęcał mnie do tego w sposób nader przeźroczysty.

— Ja, mocium panie — mawiał często — moje dzieci prowadzę po staremu... Moja wola jest ich wolą... Kto zechce moją córkę wziąść, powinien się oświadczyć mnie... Powiem: idź!... i pójdzie; nie idź!... nie pójdzie...

Właśnie dla tego chciałem się oświadczyć pierwej Handzi: chciałem bowiem z jej strony wywołać tę moralną otuchę oddania się w moje ręce, jakiej ja doznawałem oddania siebie w ręce jej. Chciałem, ażeby dobrowolnie, bez najmniejszego przymusu powiedziała mi:

— Bierz mnie... ja twoja...

Tak samo jak ja pragnąłem powiedzieć jej:

— Bierz mnie... ja twój...

Czułem, nie zdając sobie z tego sprawy, że przymus złamałby tę naturę i oddał w moje ręce ten polny kwiat... zwiędłym, ze śmiercią w sercu.

Nieraz stawało mi w myśli zapytanie: co też się stało z tym młodym człowiekiem na gniadym ogierku, którego w K. na jarmarku widziałem?... Była to zagadka, której rozwiązać nie miałem sposobu. Niby pod ziemię się zapadł; nietylko bowiem nigdy z nim w Jarach się nie spotkałem, lecz nigdy o nim nic nie słyszałem. Wprawdzie w początkach mego bywania dzieci paplały o kimeś, którego nazywały to „panem Michałem“ to „Michasiem“ Zdawało mi się, że ów „Michaś“ jest owym młodzieńcem, który onego czasu także poufałe „dzień dobry“ zamienił z Handzią i w którym, wybierając się po raz pierwszy do Jarów, przeczuwałem współzawodnika — a przeczuwałem tem bardziej, że o jego zalecankach do panny napomknął mi pobereżnik, który mi drogę pokazał. Lecz i dzieci zamilkły, i napomknienie pobereżnika wypadło mi z pamięci, i ów młodzieniec w końcu wydał się mi wytworem mojej własnej fantazji; takie o nim w Jarach absolutne panowało milczenie. A gdy, usiłując zbadać powody dyplomatycznego obchodzenia się ze mną Handzi, umyślnie przywoływałem na myśl jakieś widmo spółzawodnika i przypominałem sobie owego młodzieńca, to taka na to była moja odpowiedź, którą sam sobie dawałem:

— Jeżeli i było coś podobnego, to zapewne, on kocha ją, ale ona o nim ani myśli... Gdyby bowiem myślała, toć przecie zdradziła by się przedemną... O tylu rzeczach rozpowiada, więc rozpowiadałaby i o nim...

A ponieważ nie miałem spółzawodnika; ponieważ Handzia o nikim nie myślała, czyli, używając technicznego wyrażenia, nikim nie była zajętą; ponieważ przekonany byłem, że mi sprzyja: mogłem więc pocieszać się przyszłością i snuć sobie spokojnie nadzieję podbicia kiedyś jej serca. Tak w tym względzie rozumowałem:

— Za sprzyjaniem przyjdzie miłość, jako logiczne następstwo... Handzia nie należy do rodzaju tych ognistych istot, co to się od razu, jak proch, płomieniem zapalają i których kochanie trwa tak długo, jak promień strzelnego prochu... Miłość jej rozwinie się stopniowo, powoli... będzie za to trwałą... wieczną... Niech-no ja ją z sobą oswoję...

Więc — oswajałem. W początkach przyjeżdżałem do Jarów raz na tydzień — skończyło się na tem, że po tygodniu z Jarów nie wyjeżdżałem. Stałem się domownikiem, nieodłączną cząstką całości; państwo Dubynostwo i dzieci zwały mnie po imieniu, parobcy i dziewki tytułowały „panycz;“ miałem moje łóżko w świetlicy na jednym z tapczanów, moje miejsce przy stole na jednym z drewnianych stołków.

Handzia wszakże była wciąż jednakową.

Pilnie się jej przypatrując i najmniejszy ruch jej śledząc, czasami — ale bardzo rzadko — zdawało mi się dojrzeć coś nakształt chmurki na jej gładkiem czole; parę razy podchwyciłem westchnienie, które lekko jej wytoczoną pierś podniosło.

— To dobrze... — myślałem sobie pełen wewnętrznego zadowolenia. — To pierwsze symptomata budzącego się uczucia... *Ça ira*...

Te chmurki na czole i te westchnienia kartowałem na mój własny rachunek i to tem śmielej, że następowały one zwykle po pewnem długiem wpatrywaniu się w moje oczy. We wpatrywaniu się jednakże było coś dziwnego, drżeniem mnie przejmującego: niby chłód, niby obłąkanie, niby nienawiść, niby zresztą niemy wyrzut, mówiący:

— Czego ty odemnie chcesz!?...

Czegoż chciałem? serca za serce. Cierpliwie więc czekałem, pewnym będąc, że wkrótce będę mógł zakląć mój skarb czarodziejskiem słowem i wziąść go.

(C. d. n.)

Wzmianka o zniesionych kościołach i klasztorach we Lwowie.

(Dokończenie).

Następne krótkie zestawienie obejmuje daty zniesienia i użytek pierwotny klasztorów i kościołów zniesionych, których majątek powinien był przypaść funduszowi krajowemu.

W r. 1782 zniesiono następujące klasztory i kościoły:

1) klasztor panien karmelitanek bosych, na przedmieściu brodzkiem, oddano 26. Września OO. Reformatom, a w r. 1807 przeznaczono na zakład naukowy dla księży obrz. łac. Domek po za obrębem murów klasztornych, do klasztoru należący, sprzedano;

2) kościół PP. Bernardynek na przedmieściu brodzkiem, w skutek dekretu gub. z 2. Września 1786, wraz z klasztorem użyto na umieszczenie administracji tytoniu i myta;

3) klasztor PP. Karmelitanek na przedmieściu halickiem, odstąpiono wedle dekr. gub. z 4. Listopada 1794 r. wojskowości na szpital, w r. 1795 zamieniono na pralnię, a w r. 1796 na piekarnię wojskową;

4) klasztor PP. Dominikanek na przedmieściu halickiem, przy szerokiej ulicy, oddano w skutek dekr. z 2. Sierpnia 1783 r. rektorowi głównego seminarjum r. g. Angelewiczowi;

5) klasztor PP. Brygitek na przedmieściu krakowskiem, przeznaczono wedle dekr. gub. z 2. Września 1784 r. na umieszczenie domu karnego;

6) klasztor PP. Kanonissinek na przedmieściu krakowskiem, wedle dekr. z 19. Sierpnia 1790 r. oddano wraz z ogrodem magistratowi na szpital;

7) klasztor OO. Trynitarzy w mieście, przeznaczono wedle dekr. z 2. Sierpnia 1783 r. na umieszczenie nowo założonej wszechnicy;

8) klasztor OO. Trynitarzy Śgo Mikołaja, na przedmieściu halickiem, oddano w r. 1805 świeżo założonej parafji — kurytarze jednak przemieniono na wojskowy skład łóżek;

9) klasztor OO. Misjonarzy na przedmieściu krakowskiem, zamieniono wraz z kościołem w r. 1733 na koszary wojskowe;

10) kościół Śgo Wojciecha OO. Misjonarzy na przedmieściu brodzkiem, oddano w r. 1785 komendzie artylerji na skład saletry;

11) klasztor OO. Reformatów na przedmieściu krakowskiem, poniżej wysokiego zamku, oddano w r. 1783 PP. Miłosiernym do założenia nowicjatu, oraz umieszczenia szkoły dla sierót i dziewcząt;

12) dom należący OO. Misjonarzom w mieście przy kościele katedralnym, oddano w r. 1784 arcybiskupstwu na mieszkanie kooperatora;

13) klasztor Braci Miłosiernych na przedmieściu gliniańskiem, oddano w r. 1786 na szpital wojskowy;

14) klasztor OO. Karmelitów na przedmieściu halickiem, sprzedano w r. 1801 magistratowi.

W roku 1785 zniesiono następne klasztory:

15) klasztor PP. Dominikanek *ad Sm Ursulam* na Zielonem, sprzedano w r. 1785 gminie akatolickiej (za 3.910 złr.);

16) kościół Śgo Marcina i klasztor OO. Karmelitów na przedmieściu krakowskiem, przydzielono nowo założonej parafji w r. 1785 dla umieszczenia probostwa i szkoły. Ogród przydzielono probostwu wedle dekr. z 22. Czerwca 1789 r. — łąki zaś klasztorne sprzedano w r. 1793;

17) kościół Śgo Piotra i Pawła i klasztor OO. Paulinów na Łyczakowie, oddano wedle dekr. gub. z 16. Września 1786 r. probostwu obrz. gr. — dwa domki obok sprzedano w r. 1793;

18) kościół łac. Św. Marka na Zielonem, sprzedano wedle dekr. z 14. Lutego 1786;

19) kościół P. Marji Magdaleny i klasztor OO. Dominikanów na przedmieściu krakowskiem, oddano w r. 1785 nowo założonej parafji. Dolną część z zabudowań klasztornych w r. 1804 przemieniono na piekarnię wojskową;

20) kościół Śtej Anny i klasztor OO. Augustyanów, oddano w r. 1785 nowo założonej parafji;

21) kościół Śgo Antoniego i klasztor OO. Minoretów (Franciszkanów) na przedmieściu halickiem, przy ulicy łyczakowskiej oddano w r. 1785 świeżo założonej parafji dla umieszczenia probostwa i szkoły — ogród klasztorny i domek sprzedano w r. 1788;

22) klasztor OO. Minoretów (Franciszkanów) i kościół Śgo Krzyża w mieście, użyto w r. 1785 na umieszczenie szkół normalnych, urzędu menniczego, teatru miejskiego i sali redutowej;

23) kościół i klasztor OO. Kapucynów na przedmieściu halickiem, za ulicą gliniańską, oddano w r. 1785 OO. Minoretom (Franciszkanom). —

W r. 1786 zniesiono:

24) kościół Śgo Michała i klasztor OO. Karmelitów bosych nad miejską fosą, na przedmieściu brodzkiem, oddano w r. 1789 OO. Karmelitom (p. p. 16.);

25) kościół łac. Śtej Zofji na przedmieściu halickiem, sprzedano w r. 1789;

26) kościół ruski Śgo krzyża na przedmieściu glinianskiem, sprzedano w r. 1787 wraz z domkiem.

Do tej liczby zniesionych klasztorów, należy także 27) OO. Pijarów, na przedmieściu glinianskiem, o którem obszernie mówi rozprawa o funduszach krajowych.

Samo przez się rozumieć trzeba oznaczenie przedmieść i ulic w tem znaczeniu, jakie miały za czasów zabrania dóbr kościelnych, nie antycypując późniejsze nazwy. Nie mniej też ograniczamy się na oznaczeniu pierwotnego użytku zniesionych gmachów, nie wchodząc w to, jaki użytek w późniejszych czasach z nich uczyniono: wszak mieliśmy na oku tylko bolesną przeszłość, nie zaś teraźniejszość, w której przynajmniej promyk nadziei z po za ciemnej, mglistej zasłony gry dyplomatycznej się przedziera.

Czy i kiedy wydział krajowy obejmie zarząd funduszów kościelnych? Czy silny i sprężysty zarząd zdoła zwrócić krajowi naszemu to, co od Boga i prawa odwiecznego mu się należy, by majątek, którym naród wyposażył klasztory i kościoły, zwrócił się napowrót narodowi?

Portret

Wł. Jagiełły.



Gdy w r. 1864 obchodziła wszechnica krakowska pięćsetletnią rocznicę swego istnienia, senat akademicki postanowił uczcić pamięć fundatorów tejże wszechnicy, i w tym celu polecił jednemu z pierwszych polskich malarzów Leflerowi w Wiedniu, wykonanie portretów naturalnej wielkości królowej Jadwigi i Władysława Jagiełły.

Niniejsza rycina przedstawia portret tego ostatniego, mistrzowską ręką Leflera wykonany, przedstawiający tę chwilę gdy nadaje przywileje i fundacje akademii krakowskiej. Właściwie akademia ta zawdzięcza swój początek Kazimierzowi Wielkiemu, który takową na przedmieściu Bawoł r. 1364 założył, to jednakże fundacja ta nie osięgła zupełnego skutku aż dopiero za panowania Władysława Jagiełły.

Jemu to zawdzięcza Polska pierwszy uniwersytet, na który uczęszczała młodzież nietylko z Polski, ale ze Szwecji, Czech, Węgier i Niemiec.

Królowa Jadwiga opiekowała się dziełem przez dziada rozpoczętem, lecz przedwczesna śmierć jej, która w r. 1399 nastąpiła, nie dozwoliła jej spełnić życzenia i osięgnąć cel, jaki zamierzyła, aby akademię z niezdrowego przedmieścia w mury Krakowa przenieść. Umierając, przekazała testamentem skarby, na ukończenie nowo budujących się gmachów akademickich, a Władysław Jagiełło ostatnią jej wolę spełniając r. 1400 w rocznicę jej śmierci, instalował z całą uroczystością w nowym gmachu wszechnicę krakowską.

Jemu więc zawdzięczając uniwersytet swój byt, jagiellońskim przezwał, i dopiero po 500 latach portrety fundatorów w mury swego gmachu wprowadził.

RIENZI.

(Dokończenie).

Wolność.

Nad starym Rzymem uroczo, wspaniale
Złociste słońce rozplata kędziory;
Sypie rubiny brylanty, opale
I po ruinach rozwiesza bisiory
I rzuca górom zdziwionym na skronie,
Dyjamentowe świetlane korony,
To znów po łąkach z mgły ścieli opony,
Albo na falach Tybru ogniem płonie,
Na kapitolu gwarno i wesoło,
Lud rzymski święci dzień nowej wolności,
I dawną dumą jaśnieje mu czoło,

A z grobów ojców błogosławią kości:
Witaj mi Rzymie z katakomb przeszłości!
W imie nadziei, wiary i miłości.
Na twoich gruzach miło teraz marzyć,
I o wymarłych śnić błogo rycerzach,
Albo na ludzkość skarlałą się skarzyć,
Myśli w twych ruin kołysać pancerzach.
Na kapitolu olbrzymie tam schody,
Wiodą w pałacu drzymiące marmury;
Po bokach boginie przecudnej urody,
Wstydliwym twarzom dziergają purpury
I wiodą śmiejąc w książęce komnaty,
U szczytu lew olbrzym, wykuty z kamienia,
Kamiennym okiem mierzy karłów światy,
Straszny wielkością wiecznego milczenia.
Przed jego okiem Rzym się stary zmienia,
U stóp mu głowy padają zbrodniarzy,
I hydra wstaje ciągle rusztowania,
Nad głową dzwonów drzą straszne wołania,
I stary księżyc swoją dumkę marzy.
Około lwa w hełmie w pozłocistej stali,
W śnieżystej łódce i z mieczem przy boku,
Co się w słońce blasku brylantami pali,
Jak błyskawica w jaskrawym obłoku;
Stoi ów młodzian co z dumą na czole,
Rzucał im w serca swe myśli sokole,
I kapitolu dotąd puste mury,
Przyodział blaskiem przedwiecznej purpury.
U stóp mu ludu mętna plynie fala,
A z kapitolu dzwon stary podzwania,
Radość oblicza miedziane rozpala,
I blade czoła szkarłatem osłania.
Wolność! grzmi zewsząd, rzekłbyś, żeRzym stary
Po swoich królach wykadza pałace,
Rzekłbyś, że w bramy Hannibal kołace,
Albo syllańskie powstają mary.
O tak, marzenia narodu nie płonne,
U nóg mu leżą żelazne barony,
I połamane Cezarów korony,
Całego świata insygnia koronne,
Do Lateranu w złociste podwoje,
Cisną się ludu świąteczne gromady,
Młode rycerze, nadobne dziewoje,
I poczet mężów poważnych do rady.
O mnogich świateł jaśnieją marmury,
Różnokolorowymi mieniące się blaski;
I strojąc głowy w złote świata wieńce.
Zda się, że wszystkie jutrzenki rumieńce,
I cała krasa młodocianej zorzy,
W jeden krąg światła spłynęły różowy,
Że cały kościół w bukiet się ułoży,
Rozwitych kwiatów stubarwny tęczowy.
U stóp ołtarza w stalowej zbroicy,
Kląkł młody Rienzi wielki trybun ludu.
Na czole znak mu jakowejś tęsknicy
Wisiał, jak obłok nad wschodzącem słońcem,
Jak zwiastun cierpień żywota i trudu,
A nad przyszłości tym pochmurnym gońcem,
Złocone hełmu mieniły się stałe.
A w okół ludu płyną ciągłe fale,
I z kapitolu dzwon podzwania stary;
W grobach drzą spiące snem wieczystem cary,
Bo pieśń wolności nadgrobne kotary
Otrząsa z pyłu...

Śmierć.

Wody niemało spłynęło do morza
Odkąd nad Rzymem błysnął dzień swobody,
Odkąd mu świeci znowu łaska boża
Na dumnem czole jutrzenką pogody.
Wody spłynęło, oj i łez niemało,
Bo któż policzy te chwile boleści?
Na które liczby ludziom już niestało,
Któremi życie codzienne nas pieści.
Nad starym Rzymem chmury płaszczem czarnym
Zawisły znowu jak dach ołowiany,
Rrzemienne ogniem piorunów polarnym,
Ćmiące wolności świt cichy, rumiany,
Co z zorzą ranną po nad rzymskie pola
Zeszedł jak świętych złota aureola.
Rienzi w niewoli — na papiezkim dworze
Obronę prawdy podejmuje śmiało,
Jak na trybuna rzymskiego przystało;
Choć intryg całe go opływa morze,
Choć mu kajdany grożą i niewolą,
On dźwięczy ciągle w zrdzewiałe obroże
I opowiada żal ludu wiekowy;
Własna niezdoła go zastraszyć dola
Bo dlań śmierć milsza niż rdzawe okowy.
I uwolnili. — Nad Rzymem znów łona,
Świateł tysiące tryskają w niebiosa,
Zda się, że nocy zmierzch blednie i kona
Nad bladem czołem przeszłości kolosa;
Zda się, że nowe wytrysnęło życie
Z kolebki grobów, krwią rumiane świeżą,
Że z kupy gruzów co w górę się jeżą
Rzymu duch wstaje w napowietrznym świcie,
Do bram się cisną — łuki tryumfalne
Znów dumne czoła podnoszą w błękity
I świętych hymnów drżą tony pochwalne,
Echo tysiączne rozpiera zenity.
Rienzi przyjechał! zeszła Rzymu chwała
I noc niewoli pogrzebną rozwiała.
I znów wolności rozpaliła zorzę,
Na Kapitolu stary dzwon znów głosi
Wyroki ludu, nowe sądy boże,
I znów nad Rzymem przeszło dni niewiele,
Dni złotych szczęścia, wolności, zachwytu,
I była cisza jak w pańskim kościele,
Jak kiedy zorza majowego świtu,
Cicha, spokojna, po nad srebrne pola
Horyzont rąbkiem różowym okala.
A gdzież szczęście? gdzie spokój na ziemi?
Gdzie radość cicha bez płaczu rozpaczy,
Którejby głosy niezmąciły swemi
Bole serdeczne, lub skargi tułaczy?
Myśmy skazani na uciech żebractwo,
Na wieczne duszy błąkanie, tułactwo,
My, dzieci przeklęte Tantala.
Za wrażeń ciepłem gonimy po świecie,
A los z przed oczu złoto marzeń miecie
I szczęście umyka jak fala.
Na gruzach Rzymu gdzie laurów gromady
Z różami wiążą braterskie uściski,
Wystrzela także zbutwiały kwiat zdrady,
Żółty zazdrością, łzami ludów śliski,
I z cicha gruzy wolności oplata
I róże tchnieniem trucizny zaraża,
A w serca Rzymian uśmiechem kołata,
Jak wąż się czołga do duszy ołtarza
I kradnie zwolna nadziei kwiat świeży.
A gdzie się wkradnie, gdzie w serce uderzy;
Zgnilizna grobów uczucie roztoczy
I świat się duszy zaciemni, zamroczy,
A marzeń złoto po świecie rozbieży,
O tak baronów intrygi nietajne,
Trybuna wola złamać ich niezdoła,
Bo ludu głowy podłe i przedajne
W pałace możnych złota trąba woła.
Więc precz z trybunem!
Nad Rzymem noc się rozpostarła głucha
Jak młoda matka nad kolebką syna,
Kiedy niemowlę usypiać poczyna,
A ona marzeń jego białych słucha
I tarczą serca osłonić się stara,
By je złych duchów niespłoszyła mara,
A w mieście gwarno. Ludu tłumy czarne
Wciąż zalegają Kapitolu ganki,
Jak chmury deszczem piorunów ciężarne.
A Rienzi?
Męskiego ducha przeciwności siła
Nie zdoła złamać, ni ugiąć na chwilę;
Darmo się srożą losu niepogody,
On stałość swoją złoży aż w mogile.
Tak żyć powinni męże i narody,
Bo gorsze jarzmo niż zimna mogiła.
I Rienzi także, Rienzi chociaż młody,
Nie znał co znaczy blada śmierci trwoga,
Na stole wsparty z wielkiej księgi czytał,
Snać stare dzieje o wyrocznie pytał,
Albo modlitwy ciche słał do Boga.
W koło po ścianach stare przodków twarze,
Powagą wieków patrzały mu w oczy,
Rzekłbyś, że przy tym strasznych ócz pożarze,
Tajemnic wiecznych wielka prawda kroczy,
I na to czoło myślami zgrzybiałe,
Cierniowy wieniec poświęcenia tłoczy.
Lecz nie czas marzyć, w zamkowe krużganki,
Ludu się cisną fale rozhukane;
Pod stóp ciężarem drżą kamienne ganki,
A echa grzmotem nagłym rozdąsane,
W tysiączne łamią się po ścianach głosy.
Słuchaj! to Rzymu tak się ważą losy,
I pod naciskiem upadają zdrady.
Dojrzały możnych tajemne układy,
I lud zbłąkany idzie w jarzmo nowe.
Rienzi zrozumiał głośną echa mowę,
Wstał i na mieczu oparłszy swe dłonie,
Pochylił w ziemię rozmarzoną głowę,
A potem w górę podniósł blade skronie,
I spowiedź ducha u stóp Stwórcy składał:
„Boże! na lud mój niewinnie zbłąkany
„Spuść światła twego ożywcze promienie;
„Niechaj mu w duszy rozjaśnia natchnienie
„I zgoją wieków zakrwawione rany.
„Panie! cierpieniem całego żywota,
„I tą wędrówkę bolesną mej duszy,
„Której nie splata żadna nitka złota,
„Ja Ciebie proszę wysłuchaj me modły.
„Niech piorun święty jarzmo Rzymu skruszy.“
I miecz odrzucił i pancerz stalowy,
I stał bezbronny z piersią obnażoną,
Na czole z znakiem ognistem Jehowy,
Którym anieli u bram nieba płoną.
A w koło niego gra świateł tysiące,
I echa echom powtarzają drżące:
Śmierć trybunowi!

Nad Rzymu bladem pooranem czołem,
Kilka się wieków powoli przekradło,
I nowem grobów odznaczyło kołem,
I w czasów morzu powoli przepadło.
Ale na grobach laur już nie porasta,
Kilka róż bladych chyli się ku ziemi...
A dzwon wolności nie budzi już miasta,
Nie woła ludu tonami swojemi.
Milczą ruiny i milczy Rzym stary,
Wieść o trybunie poszła w zapomnienie,
Spokojnie już w grobach leżą Cezary —
O wolnym Rzymie tylko wspomnienie!

Antoni Socha.

Odkrycia i wynalazki.

— **W celu wykazania cykorji w kawie**, dr. Draper podaje pojedynczy sposób, polegający na tem, że mielona cykorja opada w wodzie zaraz na dno, podczas gdy takaż kawa po niej pływa. Do tej próby używa szklannej rurki, której jeden koniec węższy jest zamknięty, drugi zaś szerszy otwarty. Na węższej części rurki znajduje się przedziałka i po tej można wnioskować o większej lub mniejszej ilości cykorji, domięszanej do kawy. Także i inne zanieczyszczenie kawy można tym sposobem wykazać, bo prawie wszystkie domieszki opadają prędzej na dno niż kawa.

— **Wzrost wartości ziemi.** Grunt, na którym stoi dziś miasto Cincinnati w Ameryce północnej, sprzedanym był w r. 1800 za jednego konia. Dodać wypada, że nie był to bynajmniej koń wyścigowy, ani wierzchowiec czystej krwi. W dziesięć lat później już na tym kawałku ziemi stało miasteczko liczące 2540 mieszkańców, którego ludność w przeciągu wieku (1810 — 1860 r.) powiększyła się przeszło sześćdziesiąt razy, wynosiła bowiem 160.188 głów. Wartość ziemi zabudowanej tym grodem, liczy się dzisiaj na dziesiątki miljonów dolarów.

Inny przykład tegoż samego rodzaju przedstawia ziemia, na której stoi New-York, — najludniejsze miasto nowego świata. W r. 1824 sprzedaną ona została za 24 dolary; w r. 1810 miasto stojące na niej miało dopiero 96.377 mieszkańców; w r. zaś 1860 ludność New-Yorku wynosiła 814.277 mieszkańców, a ziemia, którą zajmuje to miasto szacowaną jest na miljardy.

— **Sztuczne złoto.** W Ameryce odkryto kompozycję do złudzenia naśladującą złoto, gdyby tylko waga nie zdradzała, że mięszanina nie jest złotem rzeczywiście. W celu utworzenia tego aljażu bierze się 100 części czystej miedzi, 17 czystej cyny, 6 magnezji, 9 winnego kamienia, 3, 6 amoniaku i 1, 6 niegaszonego wapna. Naprzód roztapia się miedź, następnie cząstkami dodaje się wapno, magnezję, amoniak i winny kamień, mięszając razem przez godzinę, ażeby massę uczynić jednostajną; potem małemi kawałkami dorzuca się cyna, mięszając podobnież dla ujednostajnienia massy; wreszcie zatyka się tygiel i pozostawia przez pół godziny na ogniu, poczem potrzeba odszumować i czynność skończona. Kompozycja ta jest nader giętką i ciągłą, można z niej robić wszelkie gatunki drutu nadzwyczaj mocne, oraz walcować arkusze tak cienkie jak malarskie złoto, którego okiem odróżnić jest niepodobna.

— **Włókno drzewne** coraz więcej zastępuje gałgany w papierniach. W wielu miejscach zajmują się produkcją tegoż włókna, za pomocą machin poruszanych siłą wody lub pary. Włókno to otrzymują z prostych desek, kłód i odpadków drzewnych, z tego materjału wyrabiają nie tylko papier, ale pudełka, szkatułki a nawet i sprzęty, które daleko lepiej przyjmują politurę, niżli ze zwykłego drewna. Maszyna do rznięcia włókna drzewnego, a wyrabiająca do 8 centnarów dziennie, kosztuje około 1.600 rubli srebrem. Włókno drzewne, otrzymywane zwykłym sposobem, kosztuje 4 ruble za centnar — tymczasem dobywane machiną, kosztuje tylko rubla za centnar; nawet trociny nie przepadają. Sortują ich sitami ze stosownemi oczkami, grubsze trociny mielą i razem z drobnemi zużytkowują w fabrykach papieru i tektury.

— **Czyszczenie figur gipsowych.** Figury gipsowe zanieczyszczają się łatwo przez dotykanie palcami i zakurzenie, przyczem kurz tak się wbija w dziurki gipsu, że nie można go przez żadne obcieranie wydobyć. Dla zapobieżenia zanieczyszczeniu, pociągają takie figury farbą lub bronzują je, aby módz je umyć, jak się zaproszą. Bardzo pojedynczym sposobem jednak można figury nie pokostując ani bronzując czyścić z prochu, białość ich pierwotną zostawiając, w tym celu pociąga się figurę za pomocą pęzla gęstym klejem introligatorskim, wystawia potem przez kilka godzin na słońce lub ciepło pokojowe, poczem klej albo sam odstaje, albo go można łatwo nożem jak skórkę ściągnąć. Klej wsiąka w siebie kurz znajdujący się w porach figury a figura przybiera swą pierwotną białość.

Pogadanki tygodniowe.

Otóż i nasz plotkarz stary! zawoła szanowna czytelniczka. z którą rozłączył mnie na cały tydzień zawistny los w postaci "Listów ze wsi." *Pardon mes dames!* Nie jestem ani plotkarzem, ani starym... chcę jednak zostać zawsze waszym sługą i... suflerem!

Wszem w obec i każdej z czytelniczek z osobna przyrzekam m i ł o ś ć, w i e r n o ś ć i p o s ł u s z e ń s t w o kronikarskie. M i ł o ś ć... któżby bowiem nie pokochał Was lube czytelniczki, a choć nie jest to miłość kochanka, gdyż wówczas trzeba być poczwórnym baszą o trzech buńczukach albo Placydem Ciociewiczem, będzie to jednak miłość, że tak powiem *Cigisbea*, której nigdy... nigdy wam nie złamię!... W i e r n o ś ć moją udowodnię wam zawsze wiernością faktów kronikarskich, które choć zakrawać będą częstokroć na... na ploteczkę, niemniej jednak choć p o ł o w ę p r a w d y mieścić w sobie będą... A dziś o prawdę tak trudno!... Co do p o s ł u s z e ń s t w a, obiecuję wam podnieść je do najwyższej matematycznej potęgi i czy to w postaci kuternogi z pod „Krzemionek," czy księcia Rudolfa z "Tajemnic Paryża," (ach! któraż z czytelniczek go nie zna?) czy to nareszcie w postaci polskiego naszego poczciwego bociana, wyłapywać będę z kału i moczar naszego żywota żaby i żabki, jaszczurki i jaszczureczki i na desert po smacznym objadku podawać je wam będę na bieluchnej porcelanowej farfurce, prosto od Lewickiego.

A jakąż nagrodę zyska biedny, spocony, wiecznie na usługi wasze, galopujący kronikarz?... Jeśli tu i owdzie czytając te kartki, która z czytelniczek uśmiechnie się półgębkiem (przepraszam za niesalonowe wyrażenie), jeśli z zadowoleniem odezwie się do przyjaciółek: „a wiecie, ubawił mnie ten kronikarz!..." a co więcej, jeśli piękne panie, szlachetne, dobrotliwe panie, prenumerować będzie „Tygodnik" — i tym sposobem wpłyniecie na materjalną a l f ę i o m e g ę redakcji... Otóż i moja nagroda.

Bo też Bogiem a prawdą, najwięcej idzie o ten ostatni waruneczek... Krzyczcie w niebogłosy na niedostatki czasopisma, krzywcie się nad każdym artykułem, wzrokiem lekceważenia przebiegajcie moje pogadanki (litości) — ale na Perkuna i współtowarzyszy jego, prenumerujcie, prenumerujcie i prenumerujcie!...

Potakujecie mi?... Przyznajecie mi słuszność?... wszak cała gra życia obraca się około magnesu: p i e n i ą d z... nie prawdaż?... A więc: niech żyje postęp!

Z tym postępem szedł widać i ów jegomość, którego w ostatnich dniach widywano w kawiarni teatralnej. Postawa jego słuszna, prawie imponująca... Powierzchowność eleganta... Włosy ufryzowane, nowomodna marynarka i lakiery dodawały mu niemałego uroku; większego jeszcze jednak uroku udzielał mu sposób, w jaki rozrzucał pieniądze. Zabrawszy znajomość z kilku osobami, stałymi gośćmi kawiarni, spijał z nimi herbatki i poncze, e n g l i s c h - b i t t r y i p a r f a i t a m o u r'y itd. itd., jak tam brzmi cała nomenklatura podobnych nektarów. Pan M. wyjawił im w sekrecie że jest Moskalem i służył w moskiewskim wojsku w stopniu kapitana, że odprowadzał carycę i we Lwowie zbiegł od boku jej imperatorskiej mości. Banialukom tym dodawała pozoru prawdy wymowa jego moskiewska i nie nader salonowe przekleństwa, które mu się wymykały po każdym kieliszku *parfait amour'a*. Uważał jednak kasjer kawiarni, że częstokroć wyborną zarywał polszczyzną... Minęło dni kilka... pan M. odwiedzał każde przedstawienie teatralne, siadywał na balkonie, klaskał co siły w paliowe rękawiczki, szczególnie przy występach jednej z artystek, i posługiwał się przy obserwacjach płci pięknej w świątyni muz, lornetami, pożyczanemi od tegoż kasjera, który ku wygodzie publiczności, ozdobną wystawił budkę w przedsionku teatralnym. Pan M. raz, drugi i trzeci złożył kaucję w budce lornetek za wypożyczone binokle, jak to jest w zwyczaju, aż tu razu pewnego, przed rozpoczęciem jednego z przedstawień, zbliża się do budki, gdzie zajętą jest wypożyczaniem szkieł żona kasjera i każe sobie podać jedno z tychże, lornetkę wysokiej wartości, oglądnawszy ją, pyta o cenę, właścicielka jednak odsyła go do porozumienia się z mężem po przedstawieniu, na co elegant przystaje, pożycza ją natychmiast i udaje się na przedstawienie. Właścicielka lornety widząc przed sobą dandysa, który tyle już razy wypożyczał szkła u niej, nie śmiała upominać się o kaucję... Mija akt ostatni — dandysa niema — teatr zamykają — dandys znikł bez wieści... a z nim kosztowny przedmiot wypożyczony... Nazajutrz pojawia się w kawiarni izraelita przed kasjerem i ofiaruje mu na sprzedaż piękną lorynetę z napisem: J. S. Nr. 15., w której tenże swą własność, zaopatrzoną literami początkowymi swego imienia i nazwiska poznaje. Zatrzymawszy ją jako rzecz (delikatnie wyraziwszy się) z w ę d z o n ą, udaje się z izraelitą do policji, gdzie ten zeznaje, jako lornetę kupił od jakiegoś eleganta za 4 fl., szczęściem kasjer znał imię eleganta. Ajenci policyjni, posłani do aresztowania go w hotelu, zastali tylko próżną walizkę pana ex-kapitana, który zostawiwszy dość wysoki nieuiszczony rachunek w hotelu, uważał za stósowne zniknąć... Pokazało się później, że szanowny pan M. w ten sposób przenosił się z miejsca na miejsce i lubiąc żyć wesoło, a nie mając z czego, musiał się uciekać do ślepej matki fortuny, która na jego nieszczęście przewidziała... Jak się dowiadujemy — szanowny ex-kapitan — dandys, właśnie co aresztowany został... Kto wie, co się jeszcze na nim pokaże?...

Kto zacz?... I kto go rodzi?...

Morał jednak, który wynika z tej historyjki da się streścić w tych kilku słowach:

1) chceszli żyć długo i szczęśliwie na ziemi, nie pij p a r f a i t a m o u r ó w i e n g l i s c h - b i t t r ó w z człowiekiem, którego nie znasz;

2) nie wszystko złoto co się świeci — a nie każdy jest ofiarą polityczną, który klnie po moskiewsku i szafuje ponczem;

3) nie pożyczaj (dobry zwyczaj) — szczególnie temu, który niczem więcej nie może ci zaimponować jak tylko lakierkami, rękawiczkami g l a c é i rajtroczkiem a la parisienne; a

4) nie kupuj pokątnie lornetek, znaczonych cudzemi literami — szczególnie ze znakiem: J. S., bo te są własnością niezamożnego kasjera, ojca licznej familji, który rok w rok w przedsiębiorstwie wyż wymienionem podobne a znaczne szkody ponosi.

Zreasumowawszy te cztery p u n c t a j u r i s, mniemamy, iż uczyniliśmy zadość naszemu sumieniu i naszej troskliwości o dobro moralne naszych czytelników i ich sławę... A jeśli (co być łatwo może przy dzisiejszych stosunkach kryminalnych) pan M. siedząc tam, gdzieby sobie tego nie życzył, v u l g o w kozie, zażąda dzienników i wpadnie mu w długie jego ręce (przepraszam uniżenie) ten numer „Tygodnika," niech przyjmie odemnie tę mimowolną uwagę: *Vogue la galère!* W e L w o w i e n i e m a j u ż c o r o b i ć!...

Nie do zobaczenia!...



Przedsiębiorcy: Euer Hochwohlgeboren! My idąc za przykładem naszego Wysokiego konsorcjum, li tylko z najczystszego patrjotyzmu, z wzniosłego poświęcenia dla kraju, *verstehen Sie* panie **Hedelowski**, poświęcenia? zalicytowaliśmy *diese Strecke* za psie pieniądze, a te bestje chłopy chcą nas obedrzeć ze skóry.

Hedelowski: *Was ist das diese* skóry? —

Przedsiębiorcy: *Es ist ein goldenes Pelz.*

Hedelowski: No to jest *gut*, że panowie macie *ein goldenes Pelz*, ale to jest *schlecht*, że ta bestja polska chlopa dobiera się do wasza skóra.

Przedsiębiorcy: O tak, tak JW. Panie, to są rozbójniki, rabusie i my liczymy na szlachetność pańską, że nas uratujesz, wszak prawda, nie będziesz ważył nam ziemi, jak ważyć zwykłeś złoto?

Hedelowski: *O ja!* — Niech pan Polak będzie spokojna — to się wszecko obrachuje podlug patentu — *ex anno...*

Przedsiębiorcy: Jak to panie, podług patentu?!! — Pan nas chcesz zgubić, a nam Książę Pan obiecał, że się podreperujemy!

Hedelowski: Co książę obiecal, to niech dotrzyma, ja *niks* nie obiecal, to *niks* nie będzie dotrzymać. — No, a jeżeli pan Polak będzie mnie obiecać tej swoi kawałek skóra — to i ja pana Polaka coś będzie opuścić z mojego patenta. — Ja to zrobim tylko dla pana Polak z patrjotyzmu, *verstehen Sie* panie Polak, *patrjotyzm*? — to jest także *ein goldenes Pelz.*

Nie-Twardowski.

Jedzą, piją, bakę świecą,
Zabawy, toasty, śmiechy,
Pod sufit korki już lecą,
Szampańskie obmywa grzechy.

Ambasador siadł u stoła,
Podparł się w boki jak basza,
Gulaj z Moskwą, gulaj wola
Lacka czeredo! tyś nasza!

Księciu panu co gra zucha,
Moskwie wciąż łaje, natrząsa,
Szepnął czule coś do ucha,
A Prinz nasz, z Moskalem pląsa.

I na innych też pomału,
Co milczkiem włażą w kamasze,
Skiń tylko drogi Moskalu,
Jak w Boga uwierzą, w *Szaszę* (Aleksandra).

Zwykła śpiewka na starą nutę.

I cóż do szczęścia mi brak,
Czyż nie rozkoszny mój kraj,
Cylinder modny, nowy frak,
A w głowie wieczny Maj.
Zielono w głowach narodu,
Pstro w dygnitarskich łbach,
Czerwoni pożółkli z głodu,
Białym szumówka w snach.

(Podsluchane).

— Proszę cię kochany sąsiedzie, jeżeli się mówi w rodzaju męzkim n. p. modny szlifibruk, to k'woli czystości języka, jak należy powiedzieć w rodzaju żeńskim, czy modna szlifibruczka, czy szlifibruczyca?

— Wybacz mi mój kochany Damaziu, ale ta kwestja jest nader zawiła -- ja ci jej rozwiązać nie potrafię, ale dam ci radę: udaj się do Wł. Lewickiego, on posiada alembik do czyszczenia języka, w którym zarazem filtruje najświeższe mody, służące do damskiej toalety.

— A toż co nowego?

— To „Nowiny" mój kochany.

— No, no, przyznam ci się, że jeżeli te „Nowiny" potrafią oczyścić język Pań, jakim zwykle przemawiają przy robieniu toalety do swych panien lub pokojowych, to te niebo-raczki ze wszystkich potarganych krynolin i sznurówek, na trwałych fundamentach guzów i szturchańców wystawią kiedyś swoim protektorkom taki wysoki pomnik, jak wysokiemi będą dla nich ich usługi.

— A ja Damaziu drogi poproszę zawczasu Pszonki, ażeby na ich skon począł pisać elegję i napis nagrobkowy mniej więcej tej treści:

Tu leży zapoznana cnota,
Krynolin, spodniczek strojów,
Nie żądna sławy ni złota
Czyściła język przykrojów.

SPIS PRZEDMIOTÓW:

J. Osiecki, wydawca. Redaktor odpowiedzialny: Dr. H. Jasieński. Druk Kornela Pillera.